

„Czy mówiłam...?”

Czy mówiłam ci już kiedyś,
Jak twe oczy mnie porwały?
Ach... te zimne fale morskie,
Cichym ogniem podgrzewały,
Moją duszę podupadłą
Oraz skute smutkiem ciało.
A ja, czując powiew życia,
Pozwoliłam nieść się falom.

Całkiem nowy byt stworzyłeś,
Tylko dla mnie i dla ciebie.
Nowy wszechświat, a prywatny.
Nasze wspólne miejsce w niebie.
Drzwi zatrzały się, gdy pierwszy
Postawiłam krok w tym miejscu.
Ale po cóż stąd wychodzić?
Po cóż myśleć o odejściu?

W głowie obraz twój widnieje,
A na sercu twoje piętno.
Lubię, kiedy jesteś obok.
Lubię, gdy przyspieszasz tętno.
I nic mówić mi nie musisz.
Ani ciałem ani słowem.
A nim ja zamilknę z tobą,
Że cię kocham, tylko powiem.

„Deszcz kokainy”

Tańczy, kręcąc się do taktu,
blady proszek z chmur sypany.

Płachtę kładzie na realność,
swą zimnością, liżąc rany.

A przygrywa mu to wicher,
a to liści zły tamburyn

tworzy całkiem nowe nuty,
opadając lekko z góry.

Tam przewraca się dość cicho,
a tu runie bezszelestnie,

nie na kolorowe licho,
a podłoże, które blednie.

Na nim stopy drażą dziury.

Raz to wielkie, raz mrówkowe.

Z niego dłonie tworzą kształty,
aż zapiera wszystkim mowę.

Uzależnić się nie problem,
od tej mąki, co ktoś prószy
z wyżyn wyższych niż są góry,
spada nisko, aż do duszy.

Że to proszek z proszku, prószy.

Tak pomyśleć prosto, błędnie.

Lecz to białe syci szczęściem,

Inne fakty- zwykłe brednie...

„Manekiny”

Manekinów tłum ogromny, trochę przypomina ludzi.

A ja patrząc, myślę tylko, kto ten urok na nich rzucił.

Puste twarze bez wyrazu zapatrzone w jasny ekran.

Kiedyś w nich szukałam kogoś i pamiętam, nawet biegłam.

Krzyk mój krążył między głowy, niczym w czerni jasne światło,
które lecąc tak bez skutku, wypalało się i padło.

Próbowałam biegać jeszcze, znaleźć odzew czy spojrzenie,
próbowałam słuchać nawet, lecz słyszałam wciąż milczenie.

A nadziei pozbawione, serce traci wnet swą barwę
i to wszystko co przepiękne z czasem jakby puste, martwe.

Więc z rozpacz chyląc głowę, oczy nie dostrzegą góry.

Mokną rzęsy i ulice, bo wraz ze mną płaczą chmury.

I tak właśnie niewidzialna, bez potoku słów na ustach

Błąkam się w przestrzeni tłumy, która zdaje się być pusta.

„Błotousty”

Miałem sen okropny w nocy o spacerze w piekle z diabłem,
Który skuty do mej ręki, nawet krokiem nie odchodził.
Tak zmęczony usiadł nagle, a ja razem z nim usiadłem.
Cóż to było za stworzenie, piękne myśli w głowie rodził.
Mówił głośno! Cicho... Spójnie. Tłumy całe w głąz przemienił.
I słuchały go kamienie, wszyscy równie nieruchomo.
Jakby słownik miał pragnienia i z ideą go ożenił.
Para iście z piekła rodem, chciwy mąż z wpływową żoną.
Nagle, nie wiem co się stało, jak pinokio żem w raz ożył.
Otwarł oczy w mgle zgubione i spojrzałem z głębi duszy,
Zamroczonej wcześniej złudą, którą diabeł we mnie stworzył.
Ręce ciągle w ścisku z diabłem, zakazały mi się ruszyć.
To począłem krzyżeć głośno, że to oszust, że szarlatan!
Że uwięził ich chciwością i obiecał twór nieziemski!
Jednak każdy patrzył rżądnie na tortury i na kata...
Dość już miałem bajek słuchać, czyn zrobiłem wielce męski
I wyrwałem się z łańcucha, pędząc wolny w tłum figurek!
Przerażenie... Brak im nosa, ust, wymowy, tylko oczy.
Stoją tylko i słuchają, tworząc w dal odległy sznurek...
Szkoda siły swe wytężać, krzyżeć, modlić się, wprzód kroczyć...
Co ja jeden zdziałać mogę przeciw ignorantów armii?
Więc wróciłem do szatana, by owinął mnie znów kłamstwem.
Tak jak matka dziecko karmi, żeby złudą mnie nakarmił.
I tak wszyscy najedzeni, nazwaliśmy siebie państwem.

„Smutna ja”

Nigdy nie bałam się cudzych spojrzeń.

Nie gubiłam myśli w ciemnych korytarzach.

I choć nic nie rozumiem, nie widać tego po mnie.

Zamazany obraz, wyraźnej siebie stwarzam.

Nigdy problemu nie miałam z emocjami.

Teraz od korzeni nie są zrozumiałe.

Wyrastają kolejne, rosnąc stopniowo falami.

Stoją wielkie dęby, niegdyś krzewy małe

Nigdy nie czułam się aż tak znikoma.

Jakby ktoś ciało mi zabrał, a zostawił duszę.

Nie widzą mnie, więc ludzie, na których uczulona

patrzę obojętnie, nie bo chcę, lecz muszę.